



**You have downloaded a document from
RE-BUŚ
repository of the University of Silesia in Katowice**

Title: Osobowościowe podstawy kultury naukowej

Author: Anna Gomółka, Ewa Kosowska

Citation style: Gomółka Anna, Kosowska Ewa (2016). Osobowościowe podstawy kultury naukowej. W: A. Gomółka, M. Pacukiewicz (red.), "Badanie kultury : ludzie, projekty, realizacje" (S. 261-267). Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego



Uznanie autorstwa - Użycie niekomercyjne - Bez utworów zależnych Polska - Licencja ta zezwala na rozpowszechnianie, przedstawianie i wykonywanie utworu jedynie w celach niekomercyjnych oraz pod warunkiem zachowania go w oryginalnej postaci (nie tworzenia utworów zależnych).



UNIwersYTET ŚLĄSKI
W KATOWICACH



Biblioteka
Uniwersytetu Śląskiego



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego

EWA KOSOWSKA, ANNA GOMÓŁA

Osobowościowe podstawy kultury naukowej

Gdyby Urszula Kowalska nie istniała, nikt nie potrafiłby jej wymyślić. Gdy jest – nikt nie ma mocy, żeby ją opisać.

Grażyna Wilk

– Przeczytałam po raz kolejny nasz artykuł na temat dziedzictwa, dostrzegłam Twoje poprawki, sama znowu coś uzupełniłam, przy okazji zajrzałam do innych tekstów i znowu zdałam sobie sprawę z tego, że porwaliśmy się wszyscy na rzecz niemożliwą, czyli nie tylko na rekonstrukcję faktów z dziejów Zakładu, ale także na próbę odtworzenia postaw i motywacji ludzi, którzy sprawili, że dzisiaj każdy z nas – przynajmniej w aspekcie naukowym, ale i nie tylko – jest tym, kim jest.

– Też o tym myślałam: wiele piszemy o rozmaitych splotach okoliczności, o tekstach, które nas inspirowały, o projektach i dyskusjach, ale chyba najwięcej o ludziach, którzy w określonym miejscu i czasie mieli wpływ na kształtowanie naszych postaw i motywacji. Pozornie nic w tym dziwnego, ostatecznie troska o aspekt antropologiczny towarzyszy nam nie od dziś, ale czym innym jest teoria, a czym innym próba jej aplikacji w praktyce...

– Marek miał chyba rację, obstając przy podtytule „ludzie, projekty, realizacje”, bo w gruncie rzeczy o taką perspektywę chodziło w spojrzeniu na dotychczasowy dorobek Zakładu.

– Przy czym niektórzy z nas siłą rzeczy więcej pisali o własnych, a inni o cudzych dokonaniach. Samo pojęcie „dokonania” jest jednak zwodnicze: w dobie przeliczania wszystkiego na punkty parametryczne przywykliśmy traktować w tych kategoriach rozmaite „dzieła wymierne”. Rzadko kto pamięta, że obowiązujący dziś w szkołach system ocen w skali od 2 do 5 wymyślono dopiero na początku XIX wieku w angielskiej akademii wojskowej; wcześniej nikomu nie przychodziło na myśl, że ludzką pracę i głębię poznania można

przekładać na abstrakcyjne liczby. Dzisiaj królują punkty, sumowane i układane w rozmaite konfiguracje, a spod tych punktów nie widać człowieka. Twoje niedawne perturbacje z uzyskaniem uznania dla unikalnej i wyjątkowo ważnej funkcji eksperckiej, której nie było w wykazie prac punktowanych, wyraźnie świadczą o tym, że system ocen powoli się autonomizuje, że spoza niego coraz trudniej dostrzec człowieka i jego indywidualne „dokonania”. Dokonania niekiedy mające wpływ na innych znacznie większy i ważniejszy niż publikacje w najbardziej nawet prestiżowych i wysoko punktowanych czasopismach.

– Rozmawialiśmy już o tym wielokrotnie, zwłaszcza zastanawiając się nad zmianami, jakie przez ostatnie dekady dokonały się w kulturze akademickiej, a na pewno w polskiej kulturze akademickiej.

– Trudno mi teraz wnikać, na użytek tej rozmowy, we wszystkie przyczyny, dla których nasi starsi koledzy hołdowali zasadzie „najpierw dobrze poznać, a potem ewentualnie opisać”, ale wydaje się, że wpływ na ich postawę mieli i dawni mistrzowie, z reguły surowo domagający się świetnego rozpoznania tematu przed przystąpieniem do publikowania własnych propozycji interpretacyjnych, i oralne tradycje nauczania – w tym rola dysputy, i wreszcie, co być może też nie jest bez znaczenia – długi proces wydawniczy w powojennej Polsce oraz stosunkowo niewielka liczba czasopism i prac zbiorowych, w których młody naukowiec mógłby zamieścić swoje propozycje.

– Niewątpliwie. Jeżeli spojrzymy na dorobek naszej rodzimej humanistyki w wieku XIX i pierwszej połowie XX, to łatwo dostrzec, że sprowadza się on w znacznej mierze do dokumentacji, do notowania dorobku ludzi/ludów niepiśmiennych, do opisu zjawisk specyficznych dla poszczególnych kultur, do publikowania materiałów historycznych, ale także do zachwytów nad artystyczną stroną dzieł literackich, muzycznych i plastycznych – bez względu na to, czy były one dorobkiem elit, czy „ludu”. Żmudna praca nad słownikami i encyklopediami, wymagająca niebywale erudycji i wytrwałości, polegała jednak na swoistym kolekcjonowaniu źródeł. Szersze interpretacje pojawiły się później, wraz z nowymi propozycjami metodologicznymi. Być może zaangażowanie w proces kompletowania materiałów wykluczało w jakiś sposób ich wielostronne naukowe wykorzystanie.

– Urszula Kowalska lubiła cytować profesora Kazimierza Wykę: „Nie można być jednocześnie w mieście i poza nim”. Sam proces zbierania danych, budowania z nich własnej bazy naukowej odbywa się wedle jakiejś apriorycznie przyjętej i początkowo słabo uświadamianej zasady, zgodnie z którą pewne informacje uważamy za istotne, a inne ignorujemy.

– Uznanie czegoś za „naukowe” w znacznej mierze jest wynikiem akceptowania wzorców naukowości, które wpajali nam nasi mistrzowie lub które sami podpatrzyliśmy, przedzierając się przez gąszcz fachowej literatury.

– Nasi starsi koledzy korzystali z obu tych źródeł. Często odwoływali się do lektur, które wywarły wpływ na ich sposób postrzegania świata, na per-

spektywę naukowej interpretacji, ale chyba równie często wspominali własnych mistrzów i ośrodki naukowe, w których się sami wychowywali. W narracjach doktora Jaworskiego bardzo często pojawiało się nazwisko Eugeniusza Frankowskiego, od 1926 roku profesora etnografii i etnologii na Uniwersytecie w Poznaniu, wychowanka Uniwersytetów Jagiellońskiego i Warszawskiego, znakomitego znawcy kultury iberyjskiej, którego spis publikacji ilościowo słabo współgra dzisiaj z międzynarodowym uznaniem dla osiągniętych przez niego efektów badawczych. A przecież właśnie za zasługi naukowe rząd Portugalii już w roku 1920 przyznał mu Krzyż Kawalerski Orderu Świętego Jakuba od Miecza.

– Chyba równie często doktor Jaworski wspominał nazwisko docenta Józefa Ligęzy, o którym napisaliście wspólnie książkę, przy okazji wykorzystując zapis rozmowy jako jedną z form interpretacji materiału zachowanego bardziej w pamięci niż w źródłach pisanych.

– Nadal uważam, że ta sokratejska z ducha próba poszukiwania prawdy w dialogu jest czymś niesłychanie ważnym w humanistyce, która w ostatnich dziesięcioleciach zdecydowanie preferuje prawdę podmiotową i wiążący się z nią relatywizm poznawczy. Zresztą my obie także z tej formy korzystałyśmy niejednokrotnie. Chyba z niczym nie można porównać tego poczucia wspólnoty intelektualnej, jakie się pojawia, gdy podczas rozmowy odsłaniają się pokłady nowych znaczeń, a na którymś z tych pokładów zaczynają krzyżować się skojarzenia; wtedy dotarcie do fundamentalnych zależności wydaje się bliskie na wyciągnięcie ręki.

– Rozmowy w Zakładzie i rozmowy między pracownikami Zakładu zawsze były ważne. Niekiedy udaje się w ten krąg wciągnąć innych, ale sprawa nie jest łatwa. Rozmowa wymaga czasu, a czas jest dzisiaj artykułem wyjątkowo deficytowym. Współcześnie rozmowy powinny być konkretne i dawać natychmiastowe efekty. Te, które są zaledwie przygotowaniem do rozmów właściwych, rzadko znajdują zwolenników. Długie ciągi cudzych skojarzeń odbierane są jako nudnawe wywody, a nie jako głośne myślenie, będące wstępem do wypracowania wspólnej płaszczyzny intelektualnej. A bez rozmów jesteśmy osobni. Dzisiaj często się na to godzimy, jednak swoisty sukces, jakim są nasze spotkania seminaryjne – czy to systematyczne, poniedziałkowe seminaria doktoranckie, czy te w ramach nieformalnego seminarium antropologiczno-lingwistycznego – zdają się wskazywać, że potrzeba kształtowania wspólnoty przez rozmowę na określony temat wcale nie jest *démodé*.

– Ale do rozmów należy zachęcać. Nasi nieco starsi koledzy, wychowani w kulturze naukowych rozmów i dyskusji, starali się i nadal starają tę wartość zaszczepić młodszym. Oprócz doktora Jaworskiego, którego wkład w kształtowanie intelektualnego profilu Zakładu był już niejednokrotnie podkreślany, warto się chwilę zatrzymać przy postaci niezwykle barwnej i w inny sposób nieobojętnej dla kształtowania podstaw naukowej kultury Zakładu. Chodzi o doktor Urszulę Kowalską.

– To prawda. Mimo że od jej ostatecznego odejścia upłynęło już kilka lat, jest w jakiś sposób nadal obecna. Była przecież postacią nietuzinkową.

– Pamiętam ją jako kobietę urodziwą i wyrazistą. Nie sposób było jej nie zauważyć. W młodości podkreślała ciemną oprawę oczu malując włosy na czarno, potem była fascynacja intensywnymi rudocściami, aż w końcu nadszedł czas szlachetnej srebrzystości. To jej upodobanie do ostrych i kontrastowych barw, stosowanych także w ubiorze, uzupełnianym stylową i zawsze starannie dobraną biżuterią, przykuwało uwagę od pierwszej chwili. W czasach realnego socjalizmu, a potem stanu wojennego, gdy ulice i uniwersyteckie korytarze pełne były szarzyzny, kreacje Kowalskiej, podobnie jak wyrafinowane w formie garnitury Jaworskiego, były czymś wyjątkowym. Urszula wykorzystała swój pobyt w Jugosławii między innymi po to, by odświeżyć garderobę. Zawsze należała do kobiet ubranych dobrze, elegancko i niemal ekscentrycznie. Trudno mi powiedzieć, na ile miała świadomość, że odpowiednio dobrany strój może człowiekowi pomagać w kontaktach z innymi – w każdym razie nie wspominała o tym, choć zdarzało się, że komplementując kreacje młodszych koleżanek jakby mimochodem dodawała: „świetnie, właśnie w tym ci do twarzy, właśnie takie ciuchy / taką biżuterię powinnaś nosić, właśnie to do ciebie pasuje”. Dla młodych asystentek były to dobre rady. Urszula umiała uczyć i umiała się uczyć. Wspominała kiedyś, że w Lublinie zaprzyjaźniła się ze scenografką teatru im. Osterwy i właśnie tej przyjaźni zawdzięczała wskazówki w zakresie kształtowania własnego *image*. Jej ówczesne kontakty ze środowiskiem aktorskim zaowocowały także doskonałą dykcją i znajomością kilku sztuczek, wykorzystywanych na zajęciach. Nie wiem, czy i tobie mówiła, że gdy podczas wykładu czuje się suchość w gardle, to wystarczy lekko przygryźć koniuszek języka, by zintensyfikować pracę ślinianek i odzyskać zdolność swobodnego mówienia.

– Dla Urszuli taka umiejętność była ważna szczególnie, bo był okres, kiedy jej dydaktyczne pensum składało się z samych wykładów. A w przerwie między wykładami paliła niemal bez przerwy. Zresztą i dla Kowalskiej, i dla Jaworskiego życie bez kawy i papierosa nie istniało. W czasach, kiedy palenie w miejscach publicznych nie było jeszcze zabronione, rozmowy zakładowe, prowadzone niejednokrotnie do późnej nocy, toczyły się w kłębach dymu. Skończyło się to nie najlepiej, bo wrzucony do kosza tłący się niedopałek spowodował pożar, w którym spłonęła część archiwum doktora Jaworskiego, w tym jedyny egzemplarz dyskietki z przygotowaną do druku pracą doktorską. W feralnym dniu jako ostatnia wychodziła z Zakładu właśnie Kowalska, więc to ona wzięła na siebie odpowiedzialność i zapłaciła stosowny mandat, chociaż sprawa nie była wcale oczywista. Na szczęście siedziba Zakładu i tak wymagała remontu, więc Urszula przynajmniej nie ponosiła kosztów odmalowania ścian. Ale ubytki w archiwum odczuwamy do dzisiaj, a pożar stał się symboliczną cezurą w dziejach Zakładu.

– Urszula mocno to przeżyła, zwłaszcza że już wtedy zmagала się z ciężką chorobą. Kilka lat wcześniej w trakcie pobytu w Cieszylinie na kolejnym kursie

Szkoły Letniej została na chodniku potrącona przez samochód. Strzaskany łośkiec lekarze jakoś poskładali, długa i bolesna rehabilitacja w znacznej mierze przywróciła sprawność ręki, ale szok pourazowy zakłócił pracę trzustki. W rezultacie Urszula do końca życia zmagala się z cukrzycą. Walczyła dzielnie, ale bezskutecznie. Choroby nie ukrywała. Zresztą jej podejście do życia zakładało, że to, czego się ukryć nie da, należy świadomie upubliczniać. Z części własnej prywatności uczyniła produkt rynkowy: na wykładach opowiadała o rodzinie i znajomych, o miejscu swojego urodzenia. Lubenka, mała wieś na Podlasiu, była znana chyba wszystkim jej studentom. Część z nich była tymi opowieściami zauroczona, część zirytowana. Ale pamiętają ją chyba wszyscy.

– O tak. I anegdoty o ludziach i zdarzeniach. I fakt, że Urszula mówiła o swojej mamie „moja Staśka”. I jej silne związki z ojcem, którego odejście przeżyła bardzo dramatycznie. Ale kiedy dzisiaj przeglądam notatki z jej wykładów, to okazuje się, że te rodzinne wtęty były jedynie egzemplifikacją zjawisk kulturowych, których skomplikowane niekiedy struktury i funkcje usiłowała nam przybliżyć.

– To prawda. Kowalska jako jedna z pierwszych zafascynowała się strukturalizmem, zresztą korespondowała z Jurijem Łotmanem i chyba jako jedyna znana mi osoba posiadała komplet tartuskich „Trudów po znakowym systemie”. Strukturalizm i semiotyka, oprócz psychoanalizy, należały do jej ulubionych metodologii. A przecież ich przybliżenie studentom wcale nie było łatwe. Dopiero dzisiaj rozumiem, dlaczego Urszula, omawiając *Świętość* Otta wpłatała między wyjaśnienia numinosum i epifanii opowieści na temat swoich dziecięcych marzeń o świętości. Urodziła się i mieszkała przez kilka lat w błotnistej Lubence, a do jej obowiązków jako kilkuletniego dziecka należało czyszczenie butów całej rodziny. Marzyła więc o tym, żeby zostać świętą, zakładając, że ten status zapewni jej możliwość unoszenia się chociażby kilka centymetrów nad ziemią i uwolni od czyszczenia przynajmniej własnych pantofli... Ta uroczą skądinąd anegdotka zdominowała moją pamięć, ale notatki nie kłamią: krótka wykładnia myśli Otta też tam była.

– Urszula w praktyce stosowała koncepcję Mathesiusa: wiedziała, że na wykładzie *novum* nie może przekroczyć *datum*, że student może przyswoić tylko niewielką część nowego materiału, który powinien dobrze kojarzyć się ze znaną skądinąd i atrakcyjną informacją. Wybrała w tym celu anegdoty z życia prywatnego na długo przed tym, zanim wynaleziono tabloidy...

– Nie można było przejść obok niej obojętnie: miała swój fanklub i miała zagorzałych przeciwników. Zdarzało się, że zaprzyjaźnieni z nią ludzie odchodzili, w pewien sposób z niej „wyrastali”. Ostatecznie zasób rodzinnych anegdot był jednak ograniczony, a gdy skomplikowane meandry metodologii zostały już z sukcesem pokonane, to wdawanie się w kolejne spory z Urszulą przestawało być zasadne.

– Ale miała też przyjaciół, którzy byli jej wierni bez względu na czas i miejsce.

– Była dydaktykiem z przekonania i powołania, chociaż jej sposób rozmowy mógł irytować. Kiedyś zapytałam: „Ulka, dlaczego ty każde zdanie zaczynasz od »nie, nieprawda«?”. „Ależ nie, nieprawda, wcale tak nie zaczynam” odpowiedziała Urszula.

– Jednak gdy było trzeba, to potrafiła siedzieć ze mną kilka godzin nad *Strukturą mitów* i tłumaczyć, o co w tym wszystkim chodzi. Oczywiście mówiła „nie” przy każdej próbie mojej interpretacji, ale kto by się tym przejmował... Zresztą, gdy pomyślę, że moje studia doktoranckie, a zwłaszcza wczesna adiunktura przypadły na okres, w którym w Zakładzie czegoś można się było dowiedzieć albo od ciebie, albo od Jaworskiego, albo od Kowalskiej, to muszę przyznać, że początkowo do Kowalskiej było mi najbliżej. Miała więcej czasu, chyba mniej się angażowała w projekty, konferencje i publikacje; rozmowa była jej żywiołem, a przyjemnością prostowanie błędnych ścieżek mojego myślenia. Robiła świetną kawę, razem kurzyłyśmy cygarety i zawsze mogłam ją zapytać o Freuda czy Piatigorskiego. O Malinowskiego i Tylora bezpieczniej było pytać Jaworskiego; Urszula cały wiek XIX początkowo uznawała za starocie i chyba dosyć późno dotarła do niej wartość diachronicznego badania myśli kulturologicznej. A i tak nad Morgana przedkładała Cassirera.

– Wybory Urszuli nie zawsze były dla mnie zrozumiałe. Podobnie jak jej opowieści autobiograficzne, które skądinąd lubiłam. Ale bardzo późno zrozumiałam, że posiadały one niezwykle istotny wymiar dydaktyczny. Pierwsi studenci naszego uniwersytetu przeważnie wywodzili się ze środowisk, które na temat etosu akademickiego wiedziały niewiele. Na Śląsku i w Zagłębiu przeważała inteligencja techniczna, której społeczna przydatność była dość powszechnie zrozumiała. Humanista, jeśli nie był nauczycielem lub bibliotekarzem, właściwie na uznanie liczyć nie mógł. Ważne były umiejętności praktyczne, wiedza stanowiła dodatek niekiedy zbędny, bo nie tylko pochłaniający czas, ale i – co ważniejsze – wyobcowujący młodego człowieka, wyrywający go z bezpośrednich wpływów rodziny. Pierwsi studenci naszego Wydziału nie mogli poza uniwersytetem porozmawiać o tym, co ich zafascynowało w nowo poznanych lekturach, co się ujawniło na zajęciach lub podczas pisania prac. Byli osamotnieni w swoich poszukiwaniach czegoś innego. I oto w ich polu widzenia pojawiła się kobieta, która nie kryła, że wywodzi się z zabitej deskami wsi, że ukończyła liceum w Białej Podlaskiej, a studia polonistyczne w Lublinie, że udało jej się poznać osobiście wielu interesujących ludzi, że obroniła doktorat, pracowała w UMCS, a potem w UŚ, że nauczyła się słoweńskiego i spędziła kilka lat w Lublaniu, że zdołała zmienić orientację filologiczną na kulturoznawczą *etc., etc.* To pośrednio oznaczało, że miejsce urodzenia nie przekreśla niczyich szans życiowych, że można pokonać różne trudności, jeśli się tylko chce, że z rodziną nie muszą nas łączyć więzi inte-

lektualne, ale jeśli wsłuchamy się w to, co mówią najbliżsi, to możemy się od nich wiele nauczyć...

– Urszula niewątpliwie dysponowała silną i niebanalną osobowością. Na pewno była wzorotwórcza, a przy tym repertuar proponowanych przez nią wzorów był na tyle bogaty, że można było swobodnie wybrać z niego coś dla siebie, nie powielając jednocześnie całości. W gronie jej najbliższych uniwersyteckich przyjaciół – oprócz kolegów z Zakładu, doktorantów i studentów – byli przecież Anna i Ireneusz Opaccy, Jola i Włodzimierz Wójcikowie, Krysia i Krzysztof Kłosińscy, Stefan Szymutko, Marek Pytasz, Piotr Wilczek, Józek Olejniczak, Miłka Mokranowska, Grażyna Wilk, Jola Tambor i Romek Cudak, Basia i Maciek Szargotowie, Monika Bujnicka i wielu innych. Niektóre z tych przyjaźni były krótkie i burzliwe, inne trwały latami. Urszula bywała sceptyczna i uparta, bywała kapryśna i apodyktyczna, ale niewątpliwie była osobowością, z którą kontakt wzbogacał i inspirował.

– A przecież to właśnie na niebanalnych osobowościach opiera się humanistyczna kultura akademicka: czytamy teksty, czytamy ludzi, czytamy teksty przez ludzi i ludzi przez teksty. Urszula Kowalska niewątpliwie współtworzyła osobowościowe podstawy kultury naukowej naszego Zakładu. Byłoby wielkim błędem, gdybyśmy nie umieli docenić jej wkładu tylko dlatego, że wołała oprostowywać cudze koncepcje, zamiast tworzyć własne i publikować je. Jej system wartości zakładał, że na publikację zasługuje rzecz skończona, a przecież myśl powinna być w ciągłym ruchu. W tej kwestii zawsze zgadzali się z Jaworskim, chociaż ich podejście do wielu spraw było diametralnie odmienne. Jej racjonalizm z reguły napotykał na jego sceptycyzm, a jej sceptycyzm często uderzał w jego racjonalizm. Ale może właśnie dlatego ich dyskusje, żywe, barwne i merytorycznie twórcze odgrywały tak wielką rolę w kształtowaniu postaw i zachowań całego naszego zespołu.

– I ten wpływ jest nadal widoczny, mimo że doktor Jaworski z rzadka pojawia się w Zakładzie i tylko z oddali czuwa nad jego „pionem moralnym”, a doktor Kowalska stała się postacią mityczną dla kolejnych roczników studentów.

– Nic dziwnego, jako autorka rozprawy na temat *Mity trojańskie źródłem inspiracji dla dramatu polskiego XX wieku* doskonale wiedziała, jak inspirować...

– Była też wychowanką profesor Janiny Garbaczowskiej, która zwykła mawiać, że „studentów należy trzymać żelazną ręką w aksamitnej rękawiczce”. A ten etos nie był Urszuli zupełnie obcy, chociaż to właśnie radykalna niechęć do wszelkiego typu radykalizmu kazała jej porzucić Lublin i na stałe związać się z Uniwersytetem Śląskim. Dla nas była to bardzo dobra decyzja.

– „Studentom, których pytania mogą sprawić, że ich profesorowie przeczytają tę książkę” zadeedykował Ralph Linton *Kulturowe podstawy osobowości*. My chcielibyśmy przynajmniej częściowo ocalić pamięć o nauczycielach, których niestereotypowe odpowiedzi nieustannie inspirują do kolejnych poszukiwań, otwierają na rozmaite „ścieżki kultury” i na nowe sposoby jej badania.